PRZYJACIEL SZKOŁY

DWUTYGODNIK NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO

WYCHODZI 5 I 20-GO KAŻDEGO MIESIĄCA

Nr. 17 5 LISTOPADA 1923 R. ROK II

KILKA MYŚLI Z ZAKRESU JĘZYKA POLSKIEGO.

(Dokończenie)

II.

Ale skutki rozkrzewienia i unormowania lektury domowej wyczuje nauczyciel już w szkole. Wielokrotne doświadczenia dydaktyczne wykazały naocznie, że uczniowie, którzy dużo, a zwłaszcza rozumnie i celowo czytają, okazują i szybszy i głębszy rozwój umysłowy, ale zwłaszcza wybitniejsze wyrobienie, możnaby rzec, czucie językowe; a to odbija się nadewszystko na pracach piśmiennych.

O nich też rzec pragnę słów parę. Nie mam zupełnie zamiaru kreślić tu choćby najzwięźlejszej metodyki wypracowań, chcę tylko rzucić kilka wskazówek. Będą to może tylko pół-środki, raczej sposoby uczynienia ćwiczeń piśmiennych więcej interesującemi dla dzieci, sposoby do obudzenia ich zamiłowań utajonych, wytrącenia ich umysłów z lenistwa, a więc rozgrzania ich ambicyj, ale i te wiodą do celu.

Wystarczy więc przypomnieć, że lata 10—14 to okres, w którym młodzież wychodzi z dziecięcego upodobania w baśniach, fantastycznych historjach, a kieruje się ku rzeczywistości, ku realnemu życiu, choćby ono nawet zarysowywało się dla niej w kształ-

tach dziwnych, nieznanych, życia w krainach odległych, dzikich; ujawnia się zamiłowanie do opisu przygód niezwykłych, ale nie sprzeciwiających się warunkom rzeczywistości, podróży po obcych krajach itp. W tej to epoce również dusze nie zamykają się jeszcze przed okiem obcem, jeszcze się chętnie spowiadają ze swoich przeżyć, zdarzeń, myśli i uczuć. Stąd też w tym okresie popłacają jeszcze tzw. tematy wolne, które oczywiście jednak nie powinny być jedynemi.

W tej tedy dziedzinie poza zwykłemi wypracowaniami piśmiennemi, dla których źródłem tematów będzie i znajomość dusz dziecięcych i bogactwo wyobraźni nauczyciela, jest cała sfera sposobów pobudzenia zainteresowań dziecięcych.

A więc: Klasa pisze p o w i e ś ć; będzie to praca wspólna, zatem zainteresowanie nią wzrośnie i trwałe będzie. Będzie powieść niejako benjaminkiem klasy, a gdy do tego kilka klas czy równorzędnych czy niższych z wyższemi, będą ze sobą rywalizowały w jej tworzeniu czy co do ciekawości fabuły czy co do piękności stylu czy choćby jej obszerności, to skutek będzie osiągnięty w pełni. Można to tworzenie zainscenizować w sposób następujący: Przy sposobności lektury jakiejś szczególnie interesującej dzieci powiastki, czy przy omawianiu życiorysu i twórczości jakiegoś pisarza, rzucić myśl, albo nawet wydobyć ją drzemiącą w duszach jakowemś potrąceniem, myśl wspólnego stworzenia powieści. Więc dzieci mają na najbliższą lekcję obmyśleć każde z własnej głowy jakiś początek powieści. Będzie wśród nich dużo reminiscencyj z lektury, więc pomysłów nieoryginalnych, ależ tu o oryginalność znów tak bardzo nie chodzi. Na tej lekcji wszyscy uczniowie ten początek odczytują, inni słuchają uważnie; odbywa się głosowanie. Pomysł, który spodoba się największej liczbie, zostanie uznany za fabułę oficjalną, do której nasi autorowie późniejsi muszą się przystosować. Z pewnością spodoba się najbardziej jako wątek przygód myśliwskich, podróżniczych lub epizod z życia szkolnego, zwłaszcza jakiś łobuzerski. Zatem dzieło rozpoczęte! Na lekcję najbliższą, na pisanie powieści przeznaczoną (np. jedna na tydzień czy na dwa tygodnie; zresztą nigdy prawie cała lekcja na tem nie zejdzie, tylko jej część), znów cała klasa dorabia ciąg dalszy, znów odczytanie generalne, znów głosowanie. I tak praca

posuwać się może aż do końca roku szkolnego; powieść będzie mieć zatem 40 czy 20 „ciągów dalszych“, więc urośnie spora. A zainteresowanie trwać będzie niesłabnące rok cały; nauczyciel zaś będzie miał gotowy, może nieco jednostronny, ale za to mocno pociągający dzieci poczet „tematów wolnych“, bo przecie z lekcji na lekcję cała klasa wciąż musi snuć pomysły, tematy i ujmować je w najlepszą możliwie formę.

Można tę sprawę uprościć; zyska się w ten sposób na obszerności takiej klasowej „powieści“, ale straci na dydaktycznych celach. Mianowicie tworzenie powieści dokonywa się na wszystkich lekcjach języka polskiego. Z lekcji na lekcję pisze ciąg dalszy nie cała klasa, ale dobrowolnie zgłaszający się, lub też wylosowany uczeń; w ten sposób obejść może pisanie zwłaszcza w nielicznych klasach uczniów kilka razy w ciągu roku szkolnego. W ten sposób powstanie wprawdzie powieść, nieraz bardzo ciekawa, ale nie złoży się na nią talent i wysiłek dosłownie całej klasy.

Przy takiej twórczości klasowej osiągnie się jeden jeszcze cel, uboczny, ale nie zasługujący też na pogardę. Oto przejawi się, jak tam przy ocenach powiastek, jakość zamiłowań literackich u uczniów; okaże się, jakie powieści w jakim wieku dzieci lubią najwięcej. I będzie to wskazówką cenną dla autorów literatury dla młodzieży, tak dziś niejednokrotnie nieprzystosowanej do jej upodobań, a zatem branej niechętnie, odpychanej. A jednak, chcąc trafić z najszlachetniejszemi choćby ideałami do głów i serc młodzieży, trzeba za ich gustem iść, iść więcej jeszcze niż za upodobaniami dorosłych.

Takim wziernikiem w dusze dziecięce, a zarazem i soczewką skupiającą ich zainteresowanie stać się też może snadnie gazetka szkolna czy klasowa, o której opowiada, podając praktyczne wskazówki J. Korczak (O gazetce szkolnej). Nie należy tylko, co się często dzieje, organizując jej wydawnictwo, dąć w zbyt wielką trąbę; niech ona będzie na razie skromną, bezpretensjonalną, nie wymagającą wielkiego aparatu, gdyż te przesadne ceremonje ze względów pedagogicznych mogą być nawet szkodliwe. Niech obejmie narazie np. lepsze wypracowania szkolne czy domowe. Później można organizować konkursy z nagrodami na najlepsze artykuły do takiej gazetki, na powiastki itp.

Gromadziłoby się te konkursowe utwory, nawet odrzucone przez sąd w honorowej tece klasowej. W niej skupiaćby też można najlepsze, to jest uznane za najlepsze czy wyrokiem nauczyciela, czy głosowaniem kolegów, prace piśmienne szkolne lub i domowe. Do niejby też weszły np. opowiądania z życia szkolnego, oryginalnie napisane przez uczniów (choćby najkrótsze epizody), opisy wycieczek, zajęć pozaszkolnych, zabaw, opowiadania z życia w różnych porach roku, tychże pór roku opisy, opisy piękniejszych budowli w miejscu i okolicy, krajobrazów itd. itd. Teki takie byłyby prawdziwym wizerunkiem życia i myślenia uczniów danej klasy czy szkoły; mogłyby być cząstką archiwum czy muzeum szkolnego, z którego z prawdziwą przyjemnością dobywałby nauczyciel po latach tę lub ową kartę, choćby nawet dla odczytania jej uczniom ku ich też niewątpliwie przyjemności. Trud niewielki, a korzyść pedagogiczna duża.

Ożywi podobnież naukę języka polskiego, a również przyczyni się do skupienia uczniów danej klasy i do utworzenia się jakby jednej zespolonej jej fizjognomji, prowadzenie kroniki czy pamiętnika klasowego. Sprawia się sążnisty zeszyt oprawny, ze wspólnej drobnej składki i zaczyna się dzień za dniem, poważnie lub humorystycznie zapisywać ciekawsze zdarzenia klasowe, dole i niedole, chwile jasne i ciemne, krotochwile i dramaty życia uczniowskiego. Robią to uczniowie, który chce lub z losowania. A już rzecz nauczyciela, żeby z jednej strony zdołał dla tej pracy obudzić zainteresowanie, z drugiej, by pilnował, iżby stronice pamiętnika nie leżały odłogiem, ale zapełniały się chyżo, z dnia na dzień, żeby nie było w ciągu roku nikogo, ktoby nie dołożył własnej cegiełki. Niech i nauczyciel od czasu do czasu dla wzmożenia interesu i szacunku dla kroniki, dorzuci swoje uwagi, swoje wspomnienia. Na końcu roku generalne odczytanie kroniki całorocznej. Ileż to będzie stąd radości, skupienia rozwagi nawet i zastanowienia się u uczniów. Można oczywiście stworzyć pamiętnik podobny i całej szkoły, w którym współpracowałyby i rywalizowały nawet całe klasy.

Może naturalnie i powinna być kronika taka ilustrowana. Może też przybrać inną formę. Oto obowiązany jest dany uczeń według dobrowolnego zgłoszenia się, alfabetu lub losowania, na da-

ny dzień przynieść do szkoły na dużej kartce (formatu ustalonego) narysowany obrazek, przedstawiający jakieś wydarzenie własne czy szkolne, krajobraz, ilustrujący stan pogody lub rzeczy podobne; pod nim zaś parę zdań o tym obrazku; może to być opis lub opowiadanie. Może też, jeśli wie, wskazać jakąś rocznicę historyczną, w jednem czy paru zdaniach wzmiankowaną; może umieścić w tym ilustrowanym kalendarzu jakąś piękniejszą myśl moralną czy przysłowie, lub też uwagę nasuwającą mu się, może dla kompletu wypisać Świętego, na ten dzień przypadającego, czas wschodu i zachodu słońca; zapisaną średnią temperaturę dnia, stan pogody itd. Może kartę ozdobić nalepianką. — To wszystko już zależeć będzie od pomysłowości i gorliwości ucznia. Tak utworzy się w ciągu roku wcale ciekawy i interesujący kalendarz, który może zastąpić ową kronikę klasową, albo też tworzyć się w parze z nią nie robiąc jej konkurencji. I to będzie sposób zainteresowania uczniów.

Wielkie zaś znaczenie nietylko wychowawcze, moralne, ale i dydaktyczne mieć będzie, jeśli nauczyciel zdoła zachęcić uczniów od najwcześniejszych lat (niemal 8—9 r. życia) do prowadzenia pamiętników osobistych. Moralne, bo przyzwyczai uczniów do obserwowania od brzasku świadomości — świata zewnętrznego i własnych stanów duchowych, do zastanawiania się nad temi zjawiskami, do wyciągania wniosków, a choćby wyrobi nałóg do konsekwentnego, stałego spełniania pewnego jakby obowiązku wobec siebie, a więc obowiązkowość. Ale nadto mieć to będzie znaczenie dydaktyczne, gdyż uczniowie wprawiać się będą w trafne, właściwe ujmowanie stylowe rzeczy sobie najbliższych, zewnętrznych, czy zwłaszcza wewnętrznych. Zdajemy sobie doskonale, ci z nas, którzy w tych latach młodzieńczych, ale i późniejszych takie pamiętniki pisali, ile nam to pisanie i radości i korzyści moralnych czy umysłowych dało. Warto celem zapewnienia powodzenia temu pamiętnikarstwu zainicjować je w klasie z pewnemi ceremonjami; a więc stworzyć wśród uczniów „kółko pamiętnikarzy“, do którego należą chętni. Kółko układa swą własną ustawę, wybiera zarząd. Dla przyciągnięcia i zachęcenia uczniów można np. w ustawę włożyć jako jedno z zadań urządzanie wycieczek, które mają dostarczyć materjału do pamiętnika itp.

Oto kilka niemających pretensji ani do oryginalności, ani do genjalności myśli z niwy szkolnej, myśli, które w najbliższym kontakcie są z nauką języka polskiego i mają na celu ożywić ją, urozmaicić, rozbudzić w dzieciach zainteresowanie, a czasem sięgnąć głębiej nawet, bo wpłynąć na dusze, urabiać je i uszlachetniać. Wciągnąłem je wszystkie do zakresu nauki języka polskiego, choć może niektóre pozostają w bliższym stosunku raczej ze samorządem szkolnym i stanowić mogą jedną z jego funkcyj ale nad właściwem i niewykoszlawionem ich urzeczywistnieniem czuwać winien i może przedewszystkiem nauczyciel polszczyzny. Do zużytkowania one wszystkie nader łatwe i nie sprawią większego kłopotu nauczycielowi; wystarczy, jeśli z początku będzie konsekwentnie i bardzo ściśle baczył, żeby to i owo szło punktualnie, dokładnie, żeby podjęcie przez uczniów tej czy owej myśli nie było tylko słomianym ogniem, ale przeciwnie przeszło w nałóg; potem wystarczy tylko ogólny dozór i kontrola. Zresztą pocóż dalej rozwałkowywać tę wprost banalną przestrogę dydaktyczną.

Mówiąc o tem czy owem, pomijałem teoretyczne pomysłów uzasadnienie; nie wskazywałem też przeważnie celów tego czy owego zabiegu dydaktycznego, nie mówiłem o ich wartości; zrozumie je łatwo każdy. Ograniczyłem się do podania konkretnego wskazania, jak to czy tamto w życie wprowadzić; wskazówki te jednak opierają się przeważnie na praktycznem ich wypróbowaniu, więc może przydadzą się komu.

Toruń *Dr. Stanisław Tync*

DZIECKO A GÓRY.

Kto miał możność obserwować dziecko wracające z gór i żyjące górami jeszcze przez długie miesiące pobytu w mieście, ten docenić umie, jakie wrażenie na dziecku wywierają góry. Wiedział o tem już Rousseau. Wpływ gór na dziecko jest rzeczywiście wielki, tak na ciało, jak na umysł; żaden inny czynnik zastąpić go nie może. Poważne usługi w wychowaniu młodzieży oddają wprawdzie kolonje wakacyjne; gdy jednak chodzi o dziecko nie cierpiące

wprawdzie na żadną poważniejszą chorobę określoną, wymagające jednakże wypoczynku w słońcu i na świeżem powietrzu, gdy chodzi o dziecko wątłe, u którego lada podmuch wiatru wywołuje już kaszel, jednem słowem o dziecko zagrożone gruźlicą, żaden inny środek w tak krótkim czasie tak korzystnego nie wywrze wpływu, jak wycieczka w góry.

Żyjemy wszakże w wieku dziecka. Dużo dla niego robi się na każdym kroku. Lecz o wysyłaniu dzieci w góry dotychczas prawie że nie myślano. A jest to sposób mniej kosztowny od całego szeregu już stosowanych i prowadzi do celu prostą drogą. Niejednokrotnie miałem możność porównywania dzieci wracających z kolonji wakacyjnych po dłuższym tamże pobycie, z dziećmi, które tylko tydzień względnie 10 dni spędziły na racjonalnie odbytych i sił odnośnego dziecka nie przekraczających wycieczkach w Tatrach: prawie zawsze rzucała się wprost w oczy wyraźna przewaga klimatu zakopiańskiego. Rozmawiając z dziećmi temi, wynosiłem wrażenie, że pobyt w górach nader korzystnie wpłynął na ich wyobraźnię; każde z nich czuło się jak w niebie na łonie natury, szczera radość i niczem nie zmącone szczęście udzielało się w oka mgnieniu całej grupie, to też dni spędzone w Tatrach zaliczają do najwięcej słonecznych z całego swego życia. A nastrój ten duchowy wpływa korzystnie na rozwój fizyczny dziecka.

Dziecko, wracające z Tatr, wykazuje przy badaniu znaczny przyrost wagi, przedewszystkiem klatka jego piersiowa odznacza się większą różnicą między wdechem i wydechem. Zmiany te następowały częściowo bezpośrednio po powrocie, częściowo wytwarzały się dopiero później. To też każdy objektywnie patrzący lekarz i mający sposobność badania większego materjału dziecięcego, wracającego z gór, musi przyznać, że chodzenie po górach jest bardzo silnym bodźcem dla rozrostu ustroju dziecięcego. Ważąc dzieci te systematycznie przez kilka następnych tygodni, niejednokrotnie stwierdzałem przyrost na wadze dochodzący do 5 kg. A to chyba cyfra bardzo wymowna.

To też zaleca się tego rodzaju wycieczki w Tatry przedewszystkiem młodzieży w okresie pokwitania. Wiemy bowiem, że właśnie okres ten jest przebogaty w nagłe przemiany, które następują w cie-

lesnym i umysłowym rozwoju dziecka. Wszakże mózg wchodzi w szybszą fazę rozwoju, chłopiec przeistacza się w młodzieńca, zaczyna płciowo dojrzewać i urabiać swój charakter. Wszystkie zmiany te osłabiają odporność ustroju wobec chorób zakaźnych i najrozmaitszych innych czynników. Tę właśnie odporność podnosi wycieczka w Tatry. W pierwszej linji odnosi się to do bladej młodzieży naszej wielkomiejskiej, która zamknięta w murach miejskich traci mimowoli kontakt z naturą, z przyrodą. Jak odbija od niej ogorzała twarz i zdrowy wygląd dziecka, wracającego z gór! Oko rozbudzone, ruchy żywe, postawa harcerska!

Działa w tym kierunku przedewszystkiem ruch i klimat górski. Jako czynnik klimatyczny pierwszorzędny wysuwa się działanie odmienne słońca w górach, którego promienie, nie potrzebując przebywać warstw powietrza gęstszego, odznaczają się większą niż na nizinach intensywnością.

To też słońce stało się ważnym czynnikiem leczniczym. Jednym z głównych i najlepiej zbadanych jego skutków jest przekrwienie skóry, które w nowoczesnem lecznictwie tak poważną odgrywa rolę. Teorję, odnoszącą się do wytwarzania zmian barwikowych, tu pomijam, gdyż wykraczałoby to poza ramy tematu. Dziś już nie ulega wątpliwości, że słońce działa podniecająco na wytwarzanie się tkanek i na ich rozrost. Licznie przeprowadzone badania przemawiają za tem, że światło słoneczne działa pobudzająco na wytwarzanie się krwinek i barwnika krwi i dlatego tak znaczne nam oddaje usługi jako czynnik leczniczy przy niedokrwistości, blednicy, krzywicy, gruźlicy. Wszystko choroby wieku dziecięcego!

Powietrze górskie odznacza się znaczną suchością, tem też tłumaczy się dodatni wpływ jego na nieżyty nosa i dróg oddechowych, na sączące wypryski skórne, które się tu goją bardzo szybko. Nader ważną z punktu widzenia higjeny jest minimalna ilość drobnoustrojów w powietrzu górskiem.

To też ujawnia się wpływ klimatu górskiego na dziecko wzmożoną czynnością oddechania. Oddech staje się głębszy, a serce, wykonując przez czas dłuższy większą pracę, rozrasta się, mięsień sercowy zyska na sile i sprężystości.

Żadnej nie ulega więc wątpliwości, że wycieczki w góry na rozwój młodzieży nader wpływają korzystnie. Oby powstało jak najwięcej organizacyj, by ułatwić młodzieży naszej pobyt w górach. A przyczyniając się tem samem do wychowania młodzieży na silnych i dzielnych obywateli państwa, spełniamy czyn prawdziwie patrjotyczny.

Poznań *Dr. med. Bronisław Szulczewski*

PRAKTYKA NAUCZYCIELSKA.

UWAGI W SPRAWIE NAUKI ROBÓT RĘCZNYCH.

Do poruszanych przez kol. St. Wiącka w Nr. 14 „Przyjaciela Szkoły". „Uwag w sprawie robót ręcznych" pragnę dorzucić słów kilka i szukać rad, w jaki sposób ten przedmiot doprowadzić do kunsztu. Jak większość nauczycieli — zdaję sobie dokładnie sprawę z doniosłego znaczenia „robót ręcznych" w nauczaniu powszechnem. Są one środkiem, prowadzącym do zrealizowania ideału najnowszych dążeń dzisiejszej szkoły, zrealizowania „szkoły pracy", która coraz większy krąg wielbicieli zdobywa wśród reformatorów nowoczesnego szkolnictwa. Ile już wyłomów i spustoszeń w dawnych, obecnie rdzewiejących sposobach podawania dzieciom wiedzy, dokonała „szkoła pracy", wie każdy z uczących, kto miał możność słuchania odczytów, referatów względnie czytania dzieł, popularyzujących i wyczerpujących ten temat lub wreszcie sam próbował coś nie coś z owej nowości do swej szkoły wprowadzać. Roboty ręczne, jakieby to nie były, budzą w duszy i wyobraźni wykonawcy pragnienie piękna, smaku artystycznego. Dziecko dąży do doskonalenia się, do zrobienia, ulepienia, wystrugania czegoś zachwycającego, wzniosłego — dzieła, któreby wszystkich olśniło, wszystkim się podobało, nieoderwanie pieściło oko ludzkie i było dla wyróżnienia i przykładu wywieszone na ścianach klasy lub umieszczone za szybami uczniowskiej szafy. Opanuje dziatwę szkolną szlachetny szał rywalizacji, który jak się miałem sposobność przekonać, wydaje niezwykle okazałe owoce. Nauczyciel może skierować fantazję i zmysły dzieci na drogę do własnej ich inicjatywy, do twórczości. W tym celu zapali je do kompozycji, którą dzieci będą się przez cały rok niewymownie rozkoszować i rozwijać ją. Ale jak delikatnej i subtelnej pieczy i kierownictwa wymagają od nauczyciela te zajęcia! Jestem młodym nauczycielem, drugi rok dopiero idącym w szeregu światłodawców, ale nie jeden młodociany zapał mogłem zgasić przez nieumiejętne objaśnianie i niemetodyczne wymagania. Uczyłem w swej klasie chłopca, który w pierwszem półroczu garnął się wprost żywiołowo do robótek, a w drugiem niewytłumaczenie ostygł. „Lepiej lubię rysować," odpowiadał na moje pytania. Cóż go, jak nie moje wądliwe podawanie uwag i instrukcyj do pracy, zraziło do kochanych przedtem zajęć.

W pierwszych dniach roku szkolnego, mimo że tyle zachęceń do robót odbierałem zewsząd, lękałem się umieszczać ten przedmiot w swoim

rozkładzie tygodniowym. I razem z autorem „Uwag“ powiem, że z bojaźnią przystępowałem do nich, bo nie miałem ku temu ani zdolności, ani zamiłowania, ani najmniejszej wiedzy teoretycznej. Nic dziwnego, że jestem analfabetą w tej gałęzi nauczania, bo nie urodziłem się z jej wiadomościami, a przygotowania żadnego w szkole pod tym względem nie otrzymałem. A jednak — dla próby — zdecydowałem się do swych oddziałów wprowadzić „roboty.“ Poświęciłem na nie ostatnią godzinę, by można było, w razie potrzeby dowolnie ją przedłużać. Długo opracowywałem plan, według którego miałem się zabrać do pracy, zanim przystąpiłem do jego wykonania.

Lekcje robót ręcznych, w mojej klasie przeżyły kilka okresów. Pracując na bardzo ubogiej wsi, musiałem się liczyć z jej ogólnym dobrobytem i nie wybierać tego, coby pociągało za sobą pewne wydatki. Rozpocząłem więc lepienie z gliny. Początkowo dawałem bardzo łatwe zajęcia, mimo że był to III i IV oddz. Lepiłem z dziećmi owoce: gruszki, jabłka, śliwki, orzechy, sześciany, walce, graniastosłupy itp. Dzieci, nie znając przedtem nic w tym zakresie, z zamiłowaniem wzięły się do pracy. Po trzech miesiącach mogły już z własnych kompozycyj wykonywać bardzo ładne prace (ulepiły chatę wiejską, posążki Światowida, kościółek, ruiny). Tu spostrzegłem, że nie mogę już pewnie prowadzić lekcji i poprawiać uczni. Starałem się zasięgnąć rad u niektórych kolegów w sąsiedztwie, lecz nic pewnego od nich nie wyniosłem. A tymczasem dzieci IV oddziału już pomału zaczęły stylizować liście, a jeden z chłopców w płaskorzeźbie wykonał profil twarzy ludzkiej (z półrubla rosyjskiego). Żywiej z radości zabiło moje serce, ale i zasmuciło się zarazem. Stwierdziłem w myśli, że nie mogę już należycie prowadzić tej systematycznej pracy. Przyszedłem do wniosku, że takie posunięcie się dzieci będzie wkraczało w dziedzinę rzeźbiarstwa, gdzie prostować błędy musi tylko oko artysty. Przeraziłem się, że mogę wpaść w bezplanowość, dając ujście zbytniej samowoli dzieci w ich pomysłach i twórczości, i zaniechałem (było to już w połowie grudnia) robót w glinie. Przyszedł okres na drzewo. Tu miałem trochę więcej pewności i zacząłem z dziećmi roboty ciesielsko-stolarskie: jak budowanie domu, szopy, stodoły itp. Przy tych zajęciach występowały często obliczenia rachunkowe: ile kawałków drzewa należy wziąć na ścianę, na podłogę, krokwie itd. Nasunęło się zupełnie niechcące kojarzenie ich z nauką rachunków i geometrji. Widząc tylko dodatnie wyniki tego łączenia nauki z zajęciami ręcznemi, przestałem „roboty“ traktować, jako oddzielny przedmiot, a nadałem im charakter repetycji z rachunków, geometrji, historji, geografji i inn., naginając zawsze zakres lekcji do przerobionych już wykładów. Czy to było zgodne z pojęciem ogólnego planu „robót“ — nie zastanawiałem się — robiłem tak, bo było mi w ten sposób znacznie łatwiej nauczać dzieci i ugruntować w ich pamięci materjał naukowy. I po roku (może coprawda chaotycznie prowadzonych robót ręcznych), przekonałem się, że takie kojarzenie-sprzężenie robót z nauką języka, rachunków, przyrody, historji itp. daje wyśmienite wyniki. Nigdy metodą wykładania, drogą teoretycznych wyjaśnień, pogadanek i porównań nie zdołałem tyle dzieciom dać, co przez ich pracę. Dziecko najlepiej to zapamiętywało i odziedziczało, co zdobyło pracą rąk, działaniem i czynnością zmysłów. Zrozumiały, sądzę, ten objaw jest dla nas wszystkich, bo przecież obserwujemy codziennie, jak organizm dziecka domaga się ruchu i zajęcia. Dzieci zawsze chętnie garną się do różnych czynności i używania narzędzi. To muruje dom, tamto wyrzyna wia-

trak, inne naprawia ziemię, naśladując bardzo trafnie ludzi dorosłych. Planowe i w porę wykorzystanie tych dążności i pragnień zaprowadzi dzieci w świat ich fantazji i tworzenia; zachęci i wprost przykuje do szkoły. Skonstatowałem niejednokrotnie, że na robotach, mało kiedy brakowało dzieci. Nigdy nie zauważyłem na tej godzinie na twarzach ani zmęczenia, ani zniechęcenia, zawsze uśmiech i radość malowały się na obliczach. Bił od nich zapał, a we mnie rodziło się przeświadczenie, że po należytem opanowaniu metody „robót", bez zajęć ręcznych przy nauczaniu przedmiotów szkolnych, obejść się będzie mi trudno. Słowem dążność do nadania dzisiejszej szkole kierunku wychowania jak najbardziej realnego, nie będzie „poronioną fantazją." Tylko praca i zamiłowanie do niej, założy trwały fundament ładu i dobra, a z dziecka wychowa obywatela-społecznika.

Na robotach ręcznych nie wprowadzałem sztucznej surowości, karności i chociaż one same stwarzają atmosferę pewnej swobody, starałem się dać klasie jak najwięcej przyjacielskości i serdecznego ciepła czy to przez pozwolenie dzieciom opowiadać swe przeżycia, czy pobudzając je do śpiewu lub deklamacji. Dziatwa nie zdawała sobie sprawy, jak łatwo i prędko uczyła się zadawanych i objaśnianych już lekcyj (nieraz bardzo dla nich trudnych i niezrozumiałych), które w czasie robót udawały się „bajecznie." Jedna tylko sprawa była trudnością nie do pokonania. To niechęć i niedocenianie przez rodziców robót i niezakupywanie dzieciom materjału i narzędzi. Najczęściej kupowałem to sam, naturalnie w najtańszych gatunkach, przez co cierpiało piękno i solidność wykonywanych prac. Nożyczek i noży używałem jednych na 5—6 dzieci. Aczkolwiek zgadzam się ze swym poprzednikiem na takie wykorzenianie egoizmu dziecięcego, to jednak w przyszłości w inny sposób będę się starał tępić te „niskie skłonności" człowieka. Bowiem za często musiała rozstrzygać moja interwencja (przy zwykłem sprzeczeniu się dzieci) kolejność używania nożyczek, zażegnywanie nieporozumień i sporów, które bardziej przeszkadzały niż pomagały w pracy. To wszystko jednak da się naprawić, udoskonalić. Najważniejszy dla mnie brak, to nieposiadanie żadnych wskazówek metodycznych z tej dziedziny, żadnych pewnych wytycznych, co przerabiać i w jakim zakresie. Uczyłem coprawda przez rok robótek, ale może tak, jak nigdy nie wypada je prowadzić!

Ponieważ wymagają one bardzo gruntownego przygotowania, by mogły spełnić swoje zadanie wychowawcze, dla mnie, jako początkującego (więc jeszcze nie zgubionego w błędach) byłoby konieczną potrzebą dowiedzieć się od doświadczonych kolegów, jak winno się roboty ręczne prowadzić i co przerabiać w pierwszym, drugim, trzecim i czwartym roku nauczania oraz z jakiej literatury w tem przedmiocie korzystać. Z tem zapytaniem ośmielam się zwrócić przez nasze pismo do Koleżeństwa.

Długołęka, woj. białostockie. F. W.

* * *

Do uwag kol. Wiącka (p. Nr. 14 „Przyjaciela Szkoły") chciałabym i ja swoje dorzucić, co tem śmielej czynię, że naukę robót ręcznych prowadzę w szkole już od lat pięciu.

Roboty ręczne — przedmiot niesłychanie ważny pod względem dydaktycznym i pedagogicznym — nie są należycie traktowane. Bardzo często nawet zdarza się, że godziny, które program przewiduje na roboty, przeznacza się na inne przedmioty. Różne przyczyny na to się składają, czasem zupełnie niezależne od nauczyciela, wiem jednak, że nieraz decyduje

o roli tego przedmiotu króciutkie: „nie umiem". Przekonałam się niejednokrotnie, że większe znaczenie ma tutaj jeszcze krótsze: „chcę". Że tak jest, kol. Wiącek też już się przekonał.

Ja również rozpoczęłam niegdyś naukę robót ręcznych, wychodząc jedynie z tego założenia, że „nie święci garnki lepią".

Przed siedmioma laty o prowadzeniu tego przedmiotu pojęcia nawet nie miałam. Pewnego razu kierownik szkoły, w której wówczas pracowałam, po podróży w Łowickie, oświadczył, że przywiózł dla mnie „niespodziankę". Tą niespodzianką były ludowe wycinanki łowickie. Ucieszyły mnie one i zachwyciły ogromnie, pęd twórczy jednak włożył mi wkrótce do ręki nożyczki, postanowiłam zrobić takie same wycinanki (z początku nie wiedziałam wprawdzie, jak się do tego wziąć), później zrobiłam podobne, wreszcie zupełnie odmienne. Wycinałam po całych dniach. Po pewnym czasie wciągnęłam do tej pracy dzieciarnię, która oddała jej się z takim samym, jak mój zapałem. Zdobiliśmy klasy, korytarze, omal że nie podwórko. Wkrótce jednak stanęły mi przed oczami dwie sprawy: zrozumiałam, że jeśli dzieci mają naprawdę korzystać, praca musi być prowadzona metodycznie oraz że bezmyślne zastosowanie zdobnictwa łowickiego nie jest właściwe na Podlasiu. I oto zaczęłam szukać nowych dróg. Trudności, które ujrzałam przed sobą, usunął kurs w Warszawie, na którym miałam możność przekonania się, że wycinanki nie obejmują całkowitego programu robót ręcznych, lecz stanowią tylko jeden dział.

Po powrocie z Warszawy rozpoczęłam już planową i systematyczną pracę, czyniąc od początku — jak i kol. Wiącek — najrozmaitsze spostrzeżenia, które dawały mi możność uzupełniania zdobytej teorji. Sporo również skorzystałam w roku zeszłym na kursie „szkoły pracy" w Zakopanem.

Lekcje robót ręcznych lubię ogromnie, zapał mój udziela się dzieciom, to też czujemy się dobrze, choć nam brak materjału obecnie z powodu drożyzny nieraz ma zamiar dokuczać — jakoś się jednak radzi.

Rozpisałam się może zbyt obszernie, zrobiłam to jednak celowo, aby przekonać Koleżanki i Kolegów, którzy się bronią słowami: „nie umiem", że broń to bardzo krucha, gdy są dobre chęci.

My nauczyciele musimy sobie zdawać sprawę z tego, że robót ręcznych żaden inny przedmiot nie zastąpi, przeciwnie, każdy przedmiot na nich opierać się powinien, zwłaszcza wobec coraz bardziej utrwalającego się hasła „szkoły pracy".

Pomijam już zupełnie usługi, jakie roboty ręczne oddać mogą lekcjom polskiego, przyrody, geografji, a zwłaszcza matematyki, pomijam wpływ ich na rozwój umysłowy dziecka, chcę natomiast podkreślić znaczenie wychowawcze. Każdy szczegół, każdy ruch dziecka może tu nauczyciel odpowiednio wyzyskać. Na tych lekcjach dziecko uczy się grzeczności, sumienności, staranności, uspołecznia się — jak słusznie zauważył kol. Wiącek. Czyż to nie miłe dla nauczyciela, gdy uczeń, który na pierwszej lekcji stanął przed nim ze słowami: „Papieru!" albo „Chcę gliny!" po paru lekcjach już „prosi", „dziękuje"; gdy ten, który z początku wyrywał innym z rąk nożyczki, ściągał niespostrzeżenie ekierkę, później zapytuje grzecznie, czy kolega może pożyczyć, czy koledze niepotrzebne. A czyż nie miło, gdy się patrzy na te drobne rączęta, zbierające ścinki papieru lub kawałeczki gliny, „żeby na ziemię nie upadły, bo się klasy nie powinno zaśmiecać."

Słusznie podkreśla kol. Wiącek, że na roboty trzeba przeznaczać dwie godziny z rzędu. Korzystniejsze to dla robót. Nie sądzę jednak, żeby

rozdawanie ich trwało aż 30 minut. Trwa to tak długo tylko na początku, dopóki dzieci nie przyzwyczają się do pewnego porządku. Przy rozdawaniu robót korzystam zawsze z pomocy dzieci: jedno rozdaje zeszyty, drugie linje, trzecie nożyczki, czwarte materjał, reszta czeka spokojnie, bo przekonały się na pierwszych lekcjach (umyślnie wtedy zezwalam), że wstawanie, wybieganie z ławek, wyciąganie rąk wprowadza zamęt, opóźnia przystąpienie do pracy, a dziatwa i przecież tak rwie się do niej!

Co do programu, to muszę tutaj zaznaczyć, że nauczyciel przed rozpoczęciem lekcji musi go sobie szczegółowo opracować, uwzględniając poziom klasy, jej zainteresowania itp. okoliczności, zwracać jednak powinien uwagę na to, by każda następna lekcja opierała się na poprzedniej i aby dzieci, w określonych naturalnie granicach, miały swobodę. Zapał wtedy rośnie, rodzi się pomysłowość, dziecko myśli.

Co do śpiewu na lekcjach robót — zrobiłabym poważne zastrzeżenie. Dzieci muszą wtedy wykonywać dwie czynności, w dwie strony zwracać uwagę, a to jest zbyt trudne. Nie sądzę, aby na lekcjach robót konieczne było ze strony nauczyciela zwracanie uwag. Dzieci tak są pochłonięte pracą, że o przeszkadzaniu, o jakichś figlach z ich strony mowy być nie może. Nie wiem, czy kol. Wiącek zauważył to, że dzieci nieraz nie słyszą wcale, gdy się do nich zwracamy. Czy mogą więc śpiewać? A że szmeru jest trochę, co to szkodzi? Proszę posłuchać, co jest jego przyczyną. Dzieci mają setki spraw do omówienia, lecz to wszystko jest przecież w ścisłym związku z lekcją. Słychać więc: „Pożycz mi gumki, daj mi nożyczki, potrzymaj tekturę, daj mi ten papier, a ja ci dam ten, czy już skończyłeś robotę?, jak to rysujesz?“ itp. Czasem znów co innego: „O to źle rysujesz, ja ci pokażę, jak trzeba“ albo „Brzydkie kolory wybrałeś, one wcale do ciebie nie pasują, jak nie wierzysz, to się zapytaj kogo innego“. Czy można usuwać ten szmer, który jest wynikiem przejęcia się pracą, albo powstaje przy koniecznej wymianie zdań? Sądze, że kol. Wiącek po dłuższej obserwacji przyzna mi pod tym względem słuszność.

(Siedlce) Helena Ryszkowska

JĘZYK OJCZYSTY.

PYTANIA Z ZAKRESU SŁOWNICTWA LUDOWEGO*)

Nr. 1: Pokrewieństwo.

Czy istnieją i jak brzmią wyrazy: *małżeństwo; mąż, żona* czy tylko *chłop, mój, moja baba...? o(j)ciec* czy *tato* (z odmianą)? *matka* czy *mama? dziadek, dádek, starek...; babka, starka* czy *matka? prababka..; wnuk* czy *wnęk, wnęczka* (o ile wogóle na to pojęcie jest osobny wyraz)? *brat, siestra; bliźniaki, rodzeństwo? — stryj, stryk* czy *stryjo? wuj, ujek* czy *wuja* (z odmianą tej formy)? *stryná ujná* (z odmianą)...; *ciotka..; swák* czy *pociot(ek)* ‚mąż ciotki'? *brat(r)anek, bratanieç, synowiec, siestrzenica...; brat stryjeczny, cioteczny, pociotek? — zięć; synowa* czy *śniészka, syneska* (tak na Mazowszu)? *teść, teścia* czy *pani matka?* czy jest różnica między *teściem* a *świekrem, teściową* a *świekrą?* co znaczy *szwagier* a co *dziewierz* 'brat męża' czy 'żony', 'mąż siostry'? czy się odróżnia siostrę męża od siostry żony, i jak: *bratowa, szwagierka..?* czy są wyrazy: *szurzy, zołwica, świeść, jątrew..?*

*) Por. Komunikat i Kwestjonarjusz Polskiej Akademji Umiejętności w Nrze 15 „P. S.“

Czy są nowe wyrazy na krewnych: *kuzyn, półbrat...*, i co znaczą? — *rodzina* czy *familijá, krewni* czy *krewność* (składnia tego wyrazu)? czy się rozróżnia *krewnych, rodnych* od *powinowatych?* — *wdowiec, wdowa* czy *gdowa? ojczym, macecha...; pasiéı (z)b* czy *pasynek? brat przyrodni...?* — Dziecinne nazwy *ojca, babki, ciotki...* — Jak zwą nieślubne dzieci: *bąkl, bękarty...?* jak ich matkę: *przeskoczka, záwitka...?* — Czy nazw rodzinnych nie używa się w innem znaczeniu, np. *ojciec, matka, ujek* w przemowie do starszych ludzi, *wuja* 'głupi', *ciota* 'czarownica', *synek* ,chłopiec'...?

Uprasza się o pełny zbiór, z wyraźnem zaznaczeniem słów nieużywanych.

Nr. 2: Cepy.

Jąk się zwie część dłuższa cepów: *dziérżák, cepisko* czy jeszcze inaczej? jak część krótsza *biják, bicz, cepák...?* z jakiego są drzewa...? — Czy bijak ma obłożenie skórzane, i jak się ono zwie: *kapa, kapka, kaptur, uwiązák, gążwa (gązwa)...?* — Czy także koniec dzierżaka jest obłożony skórą czy łykiem, i jak się to zwie: *kapa, kapica, gązwa, pták...?* — Co łączy kapy: *gązwy, sfora, smyczka, spona...*, i jak jest zrobione? — Czem się przywiązuje do cepów *(do cep?)* kapy, ewent. gązwy: *troczkami, uwiązákami...?* z jakiego materjału są te troczki? — Zwraca się uwagę, że *gązwy* w jednych miejscach oznaczają 'kapy', w innych 'połączenie kap' lub 'połączenie cepów bez kap'. — Czy się *młóci* czy *draszuje?* kto to robi: *młocki* czy *draszki?* i gdzie: *na boisku, bojewicy, klepisku, gumnie?* — Jakie są wyrażenia, związane z cepami i młóceniem?

SPRAWY SZKOLNE ZAGRANICĄ.

FRANCJA.

Rola lalki w szkole francuskiej. Bolszewicy chcą wychowanie dzieci postawić na grunt trzeźwości, praktyczności, uznawania realnych stosunków i wartości. Dlatego z wychowania dziewczynek starają się wyrzucić lalkę, jako rzecz złudzenia, jako pozostałość marzycielstwa i sentymentalizmu burżuazyjnego. Twardy racjonalizm, wyrobiony w walce rewolucyjnej, chcą oni przekazać nowemu pokoleniu, jako cechę nowonabytą.

Francuzi zapatrują się na tę sprawę całkiem inaczej. Francuzki wogóle mają mało rozwinięte uczucie macierzyńskie. Tak rozpowszechniony system oddawania dzieci na wychowanie na wieś dowodzi tego najlepiej. Francuzka lubi zabawę, poświęca flirtom dużo czasu, dziecko jej więc zawadza. Tymczasem państwu zależy na powiększeniu ludności. Aby rozbudzić w kobietach instynkta macierzyńskie w szkołach, każda klasa ma dużą lalkę. Wolno dziewczynkom bawić się z nią po kolei. Szyją dla niej, spowijają, kąpią, ubierają, pielęgnują w razie wyimagowanej choroby. Dziewczynki uwielbiają oczywiście lalkę i ubiegają się o swoją kolej w zabawie.

Może takie wychowanie wpłynie na zmianę charakteru kobiet francuskich i na rozwój tak pożądanych i premjowanych „licznych rodzin".

„Higjeniczne sumienie. Wyrażenie jest tak trafne, iż trzeba je rozpowszechnić. Wypowiedział je niedawno w Sorbonie dr. Sicard de Plauzoles na zakończenie kursów z higjeny społecznej:

„Powinno się przedewszystkiem starać kształcić umysł ludzki: żadne prawo nie znajdzie należytego zastosowania w kraju, jeżeli sąd ogółu nie

będzie dostatecznie wyrobiony i oświecony, jeśli wszyscy ludzie nie będą posiadali higjenicznego sumienia, jeśli każdy człowiek nie będzie miał tego poczucia obowiązku, którym się odznaczamy w szerokiej mierze w innych wypadkach, ale którego nam brak, gdy chodzi o higjenę i bezpieczeństwo drugich i o odpowiedzialność za zdrowie bliźniego".

Należy zatem kształcić w naszych wychowankach sumienie higjeniczne, w ten sam sposób, w jaki rozwijamy w nich poczucie moralności.

ANGLJA.

Co czytają mali Anglicy? — Dyrektor pewnej szkoły w Szkocji postanowił przekonać się, co też stanowi pokarm duchowy dzieci jego ojczyzny, poza pracami szkolnemi. Stawił swym uczniom kilka zapytań, zalecając im szczerą odpowiedź. Oto wynik tych badań Prawie wszyscy chłopcy i wszystkie dziewczęta czytają gazetę miejscową wieczorną, i interesują się przedewszystkiem wieczornym numerem niedzielnym, który zawiera sprawozdania z najświeższych zapasów sportowych: football, boksowanie, pływanie i golf; oba rodzaje są w tem równo zainteresowane. Po sporcie, zabójstwa i tajemnicze sprawy, procesy cieszą się względami tego młodego świata, dla którego wszelkiego rodzaju gwałt ma szczególny powab. Polityka interesuje tylko najstarszych wiekiem.

Co się tyczy literatury w prawdziwem tego słowa znaczeniu, zauważono, że dziewczęta czytają bardzo chętnie książki odpowiednie dla chłopców, kiedy odwrotnie, o chłopcach tego powiedzieć nie można. Wykaz książek zawiera same dobre dzieła, zacząwszy od Cooper'a i Verne'go, kończąc na Wells'ie i Kiplingu.

KSIĄŻKI.

John Dewey. Szkoła i dziecko. Przełożyła H. Błeszyńska. E. Wende i S-ka. Ignis. Warszawa 1923. 8°. Str. 175.

John Dewey — to nazwisko głośne dziś nietylko w Ameryce, ale i w Europie. Profesor filozofji Uniwersytetu „Columbia" w New-Yorku szeregiem prac z dziedziny filozofji i pedagogji śmiałemi, świeżemi a oryginalnemi poglądami zwrócił od pierwszej chwili na siebie uwagę świata uczonego. To też nic dziwnego, że „Szkoła i dziecko", mimo, że składa się z rozpraw naukowych w różnych czasach pisanych, budzi interes każdego, kto się sprawami wychowania zajmuje.

Dziełko składa się ze wstępu, mówiącego o Dewey'u i jego pedagogice, uczonego genewskiego Edw. Claparèda i czterech rozpraw Dewey'a na temat: 1) zainteresowanie i wysiłek; 2) dziecko i programy nauczania; 3) cel nauki historji w nauczaniu początkowem; 4) wychowanie i moralność. G.

Walerjan Sikorski. Gry i zabawy ruchowe. Wydanie drugie. Księgarnia św. Wojciecha. Poznań 1923. 16°. Str. 206.

Ważnemu, a u nas niestety tak bardzo zaniedbanemu zagadnieniu rozwoju fizycznego młodzieży poświęcony jest ten zbiór gier i zabaw ruchowych. Autor, znany już zaszczytnie na polu wychowawczem, z wielką sympatją dla młodzieży i ze zrozumieniem jej potrzeb daje w ręce wychowawców lub kierowników podręcznik, ułożony metodycznie t. j. według stopnia trudności zabaw i gier z wiarą, że niejednemu z nich ułatwi tę przyjemną a odpowiedzialną pracę. W. S.

NASZE ECHA.

GŁOSY

„Łam czego rozum nie złamie“ powiedział nam wielki poeta Mickiewicz. — Naprawdę jest to polot myśli, który winien unosić każdego i pobudzać do intensywnej twórczej duchowej pracy. Lecz nie wszyscy starają się zrealizować owe piękne myśli naszego wieszcza. Nie będę tutaj poruszał bierności całego społeczeństwa — mam tylko na myśli czytelników „Przyjaciela Szkoły.“

Otóż kiedy się ukazały w naszem piśmie pierwsze pytania i odpowiedzi, byłem zadowolony, że będę miał sposobność tą drogą poznać i zrozumieć wiele zagadnień metodyczno-pedagogicznych. Lecz niestety! Kilka zaledwie pytań było rozebrane, reszta została b e z echa. A ileż to tam bardzo ważnych zagadnień było, na które należało odpowiedzieć. Widać z tego, że albo nie umiemy myśleć albo może nie chcemy sobie zadawać trudu.

Ludwikowo, Wlkp. Jan Zielonka

ODPOWIEDZI

Co robić na wsi?*)

Kolega B. z pow. piotrkowskiego poruszył nadzwyczaj ciekawe zagadnienie: mianowicie zużytkowanie wolnych chwil tak, „żeby się nie nudziło“.

Jeżeli nie wielu ludzi umie pracować, to jeszcze mniej bodaj umie odpoczywać: najczęściej ludzie, mając wolny czas, nudzą się albo spędzają go w najgłupszy pod słońcem sposób.

Karty, pijatyka lub siedzenie w brudnej norze restauracyjnej czy kawiarnianej godzinami, włóczenie się bez celu po deptaku miejskim, a wreszcie największa rozkosz: gadanie o niczem z kobietami czyli t. zw. flirt — oto najczęstszy, a dla niektórych i najmilszy sposób „zabijania“ czasu.

Jeżeli więc owe „wprost rozpaczliwe okrzyki nauczycielstwa“ wyrażają tęsknotę za temi pryjemnościami — trudno coś radzić. Niech starają się o przeniesienie do jakiego miasta, gdzie będą mieć partnerów do kart, kawiarnię czy restaurację, kawałek ulicy do obijania sobie bąków, a może (o rozkoszy!) i operetkę.

Jeżeli zaś chodzi o rozumne wykorzystanie wolnych chwil, to wieś nieraz nietylko nie przeszkadza temu, ale sprzyja więcej niż zgiełkliwe i gorączkowe życie miasta.

Chodzi tylko o to, co kto nazywa miłem spędzeniem czasu: dla jednego np. czytanie monografji historycznej będzie nudną robotą, ale drugiego miłą rozrywką. Rady moje stosują się tylko do tych, którzy interesują się światem, którzy czyniąc i ucząc się — odczuwają żywą radość.

Są zatem dwa główne działy, które objąć może taki człowiek: kształcenie swego umysłu i ciała ,oraz kształcenie i podnoszenie kultury otoczenia. Dla niektórych wydać się to może suchą i żmudną pracą, nie zasługującą na nazwę miłego zajęcia, ale niech spróbują wciągnąć się w to, a przekonają się, że więcej jest to warte, niż „zabijanie“ czasu. Naprzód więc co do siebie:

Nauczyciel wiejski powinien prenumerować jedno pismo codzienne, o ile możności nie zabarwione partyjnie, a informujące rzeczowo. Jeśli fundusze nie pozwalają mu na to (w co zresztą wątpię), to może urządzić „kooperatywę“ z jednym czy kilkoma gospodarzami.

*) Por. pytanie Nr. 11 w Nrze 12 „P. S.“.

Nie zrobi mu to wielkich trudności, jeżeli na czytanie gazety zbierze do siebie kilku gospodarzy i objaśni im różne wiadomości, wyrabiając w nich poczucie obywatelskie.

Poza tem warto zaprenumerować jedno czasopismo fachowe (pedagogiczne) i jedno ogólne (np. „Przegląd Warszawski.“) Nie wymawiajmy się, że to drogo kosztuje. Na Zachodzie niema rodziny robotniczej nie prenumerującej pisma, a u nas można widzieć dostatnie ubranych panów przed rozlepioną przy redakcji gazetą, którzy wolą tracić czas na wystawanie na ulicy, niż wydać kilka marek na gazetę, mimo, że w innym czasie wydadzą dziesięć razy więcej na rzeczy zbyteczne.

Twierdzę też stanowczo, że mimo drożyzny książek, można sobie pozwolić na kupno co miesiąc jednej książki. Można też przy odrobinie starania pożyczać z najbliższego miasta czy miasteczka książki w takiej ilości, żeby wystarczyło na tydzień lub dwa czytania.

Dobrze jest przytem wytknąć sobie pewną linję w czytelnictwie, a więc specjalnie zapoznać się z jedną dziedziną dokładnie lub choćby pobieżnie wglądać kolejno w dziedziny nieznane. W najgorszym razie nie trzeba się wstydzić przeczytać popularnej broszurki mówiącej o rzeczy mało nam znanej. (Np. „Książki dla wszystkich“ Arcta lub Wydawnictwa M. Brzezińskiego). A bardzo pożyteczna jest lektura encyklopedji, którą przecież nie tak trudno dostać. Należy przytem prowadzić odpowiedni notatnik, gdzie będziemy zamieszczać uwagi, skróty, wypisywać myśli itp.

Przywykłszy znajdować wszędzie pokarm dla umysłu, nie bez pożytku przeczytamy stare roczniki czasopism, wybrawszy się raz na rok choćby do większego miasta, znajdziemy nieraz w antykwarjacie książkę, która da nam do myślenia na długi czas.

I tu znowu podkreślić należy wartość i przyjemność notatek: *każdy myślący człowiek powinien prowadzić dziennik.* Nie chodzi tu już o notowanie zewnętrznych faktów, (choć i to może być miłem, jako wspomnienie) ale o zaznaczaniu swych myśli, obserwacyj i postępów swego rozwoju duchowego. Specjalny dziennik poświęcić należy szkole: tam notować się będzie obserwacje poczynione nad dziećmi, różne nowe pomysły, protokóły lekcyj wzorowo opracowanych itd.

Od czasu do czasu można podzielić się swemi doświadczeniami z ogółem kolegów przez przygotowanie artykułu do jakiego pisma pedagogicznego, a wreszcie mając wiele wolnego czasu nie zaszkodzi uczyć się obcego języka.

Utrzymując w ten sposób kontakt z życiem umysłowem, nie należy jednak zamykać oczu na otaczający świat. Skąd zjawiają się np. skargi na samotność? Czy mieszkasz przyjacielu na bezludnej wyspie? Nie, mieszkasz na wsi, gdzie jest przynajmniej kilkadziesiąt osób. Tak, ale to nie jest dla ciebie „towarzystwo“, prawda?

Otóż wiedz o tem, że wiele, wiele nauczyć się możesz od tych ludzi, pamiętaj tylko o zasadzie: *rozmawiaj z ludźmi o tem co oni najlepiej umieją.* Kiedy zasadę tę zastosujesz, aż zdziwisz się, jak ci się świat rozszerzy: dotąd byłeś „samotny“, a teraz widzisz dokoła siebie wielu ludzi, a od każdego z nich dowiesz się czegoś ciekawego. Więc od kołodzieja dowiesz się jakie drzewo do czego jest najlepsze i jakie ma własności, od młynarza dowiesz się różnych tajemnic młyna, od żydka, wymieniającego talerze na gałgany, dowiesz się o zwyczajach żydowskich, wierzeniach i przesądach, od każdego gospodarza dowiesz się coś nie coś z rolnictwa, weterynarji, od gospodyń usłyszysz niezawodne środki na ból zębów lub różę... Jedne z tych wiado-

mości będą może grubemi przesądami, które należy sprostować, drugie jednak zawierać będą tajemnicę medycyny ludowej, wywodzącej się może z pogańskich jeszcze czasów, do której nawraca teraz niejednokrotnie medycyna naukowa. Zwróciwszy uwagę na okolicę odkryjesz może starą stylową kapliczkę, odnajdziesz ciekawe akta na strychu kościelnym, lub lamusie dworskim, natrafisz może na dawny cmentarz pogański, gdzie znajdziesz narzędzia krzemienne, wreszcie odkryjesz zabytki przyrody itd.

Nie są to wszystko fantazje, bo pewien bliski mi człowiek, mieszkając w zapadłej prowincji, zebrał wprost bogaty zbiór narzędzi przedhistorycznych, porobił moc obserwacyj nad zwyczajami chłopów, żydów i cyganów, studjował Talmud, uczył się angielskiego i włoskiego, a wreszcie stał się wyrocznią dla okolicy w zakresie porad prawnych, lekarskich, a nawet gospodarskich i rodzinnych.

Wreszcie nie należy zapominać o swoim rozwoju fizycznym. Wrodzone nam lenistwo wytworzyło przesąd, że dorosły człowiek nie może używać sportów, bo to jest „śmieszne." Anglicy, Norwegowie, Chińczycy a nawet Francuzi i Niemcy nie boją się tej śmieszności, ale też są zdrowi, sprawni, energiczni i zachowują sprężystość umysłu do starości. Wartoby nam brać z nich przykład i uprawiać wszelkie dostępne sporty (lekka atletyka np. nie wymaga żadnych przyrządów), wpływając zarazem na młodzież wiejską, spędzającą wolne chwile na pijaństwie, grze w karty i wałęganiu się bezcelowem po wsi.

Trzeba mieć ambicję stania się centralną osobą swej okolicy i zarazem czynnikiem podnoszącym kulturę jej. Dlatego nie wyobrażam sobie nauczyciela wiejskiego, który nie ma pojęcia o gospodarstwie wiejskiem, lecznictwie i prawie.

A doprawdy nie trudno zebrać się na kupienie książek z tego zakresu i pomóc, ażeby móc udzielić rady otaczającym.

Jeśli nauczyciel uświadomi sobie, że kwestją bytu naszego Państwa jest dorównanie mocarstwom Zachodu — wyda zawziętą walkę brudowi, ciemnocie, barbarzyństwu i lenistwu panującemu w jego wsi.

Niech znikną brudem zarosłe nogi i szyje, pełne zaduchu izby, kałuże i gnojówki przed chałupami, urągające higjenie traktowanie chorych barbarzyńskie wychowywanie dzieci, przedpotopowa nieraz uprawa ziemi, lenistwo wybitnie wschodnie, sobkostwo nie rozumiejące nietylko potrzeb Państwa, ale nawet gminy.

Praca w tym kierunku jest naprawdę twórczą i ciekawą, a takie spędzanie czasu zastąpi wszelkie inne przyjemności i uciszy wołania tych, którzy nudzą się w swoiem własnem towarzystwie.

Warszawa. Jerzy Korczak-Ostrowski.

List otwarty do Szan. Kolegi, który postawił pytanie „O nudach".

„Wyszedłem po pracy ot, jak to mówią trochę przewietrzyć się. Nie powiem, żebym był zamiłowanym piechurem, ale lubię czasami wyjrzeć na świat, jak kret z nory i co prawda nigdy tego nie żałuję, potem jednak zatrzymują mię codzienne sprawy, zapominam o przyjemnościach przechadzki i znowu przesiaduję w domu. Otóż jak powiedziałem, wyszedłem przewietrzyć mózg z książkowego pyłu. Anim się spostrzegł, kiedy zapadł cichy wieczór podolski. Jeszcze po niebie błąkały się blaski za-

szłego już słońca, jeszcze w pół-mroku rysował się jar Dniestru i widać było miniaturowe domki. Poczęły w oknach błyskać światła. Ładnie to było, naprzód jedno, potem drugie, dziesiąte — cicho było i jakoś dobrze. Stanąłem w zadumie, przypatrując się światełkom i pomyślałem, że przecie ludziom nie jest tak bardzo źle, ot mieszkają sobie tam, gdzie te światełka i dobrze im. Ale prawda — nie — tam na przeciwko mnie, na piętrze, tam chyba nie jest bardzo dobrze; wiem przecież — są tam dwie malutkie sierotki, którym niedawno matka umarła na suchoty. Biedactwa! Obca niańka zapewne układa je do snu. A tam, trochę na prawo, mieszka dwoje biednych staruszków, o których dzieci zapomniały gdzieś w dalekim świecie, pewno i u nich nie bardzo miło. Albo tam, trochę niżej, sześcioro dzieci, bieda, nędza, może dziś kładą się spać bez kolacji? Ot, teraz błysło nowe światło, ach wiem, tam mąż z żoną „nie żyje": pijak, utracjusz. Mimowoli zacząłem przechodzić oczyma z światełka na światełko, po kolei. Toż znam przecie ich wszystkich — wszędzie widziałem chorobę, złość, rozpacz, niedolę i nędzę. Uporczywie już szukałem, może choć jedno okienko błyśnie mi szczęściem, jedno tylko? Boże, Boże, więc niema? — więc ani jednego? Nie — nie znalazłem!...

Więc mówisz Kolego, że się nudzisz? Pójdź przez wieś swoją, otwórz serce i oczy i patrz! Nie pytaj nikogo! Nie wdzieraj się w cudze tajemnice, nie rzucaj pytań bolesnych, tylko otwórz serce i oczy i patrz! Ujrzysz na każdym kroku niedolę, ujrzysz niewyschłe łzy w oczach, które już nie mogą płakać, ujrzysz stygmat bolu na biednych twarzach Twoich braci. Jeśli znajdziesz jednego szczęśliwego, to zawołaj: Hosanna! i powiedz to wszystkim i powiedz także i mnie, ale ja Ci mówię, nie znajdziesz! Jeśli zaś masz serce, to zapłaczesz, a wróciwszy do domu nie zaznasz więcej nudy, bo każda godzina lenistwa, każda godzina bezczynności czy bezmyślnej zabawy będzie Ci zatruta myślą o tamtych biednych wydziedziczonych braciach Twoich.

Będziesz więc pracował — czyń tylko dobrze dokoła siebie, do czego nie trzeba ani wskazówek, ani nauk, serce Twoje będzie Ci nauczycielem. A po latach żmudnej pracy spłynie spokój Boski do Twej duszy i powiesz: „Jestem człowiekiem!.."

Ka (pow. Zaleszczyki, woj. tarnopolskie).

W jaki sposób lepiej przekonać ludność co do posyłania dzieci do szkoły przez cały rok szkolny?

A gdzie prawo nauczania powszechnego? Czy tam nie obowiazuje przymus szkolny? Jeżeli rząd tego sposobu nie ma, to kolega nic w tem nie zrobi. — My tu na kresach zachodnich nie znamy nic podobnego. Chociaż nieraz zdarzają się wypadki zmudzania lekkomyślnego przez dzieci. Wtenczas postępujemy w taki sposób: W drugi dzień nieobecności ucznia posyłamy jednego współucznia do domu nieobecnego z ustnem lub piśmiennem zapytaniem, dla czego nie jest już drugi dzień w szkole i z kategorycznem żądaniem usprawiedliwienia zmudy. Gdyby to nie pomogło, spowodujemy na trzeci dzień sprowadzenie przez policję, która raz po raz też dyscyplinarnie wkracza, co tylko zmudzającym uczniom wychodzi na korzyść. Zmudzone bez uniewinienia dnie podajemy miesiecznie policji, wnosząc o ukaranie. Ta ściąga za każdy zmudzony dzień pewną grzywnę. Zarządzenia te przemawiają najlepiej do przekonania opieszałej ludności do regularnego przysłania swych dzieci do szkoły. **Z. J.**

PYTANIA

16. *Czy w szkołach powszechnych lepiej jest stosować system klasowy, czy też i fachowy?*

17. *Jak uczyć w szkołach powszechnych zoologji czy od najniższych rzędów czy od najwyższych.*

Józef Dobrzyński, pow. tarnogórski, woj. śląskie.

18. *W oddziale I-szym mojej szkoły powtarzają się często wypadki kradzieży a winowajcy trudno odnaleźć. Jak więc należy postąpić w danym wypadku?*

19. *W jaki sposób można wyrobić słuch do śpiewu u dzieci, które go nie mają?*

20. *Jak często, w jaki sposób należy prowadzić dyktat w oddziale 3-im i poprawkę błędów?*

A. Fuksa, woj. białostockie.

DROBNE WIADOMOŚCI.

PROGRAM WYŻSZYCH KURSÓW NAUCZYCIELSKICH. Statut i Program Państwowego Wyższego Kursu Nauczycielskiego dla nauczycielstwa szkół powszechnych ukazał się w druku. Zawiera on szczegółowe przepisy co do organizacji Wyższych Kursów Nauczycielskich oraz wprowadza w całem Państwie od 1 stycznia 1924 r. egzaminy dla eksternów na Wyższym Kursie Nauczycielskim zamiast egzaminów wydziałowych, istniejących dotychczas w zachodnich i południowych województwach. Program i szczegółowa bibljografja pozwolą nauczycielstwu zorjentować się w poziomie wymagań, stawianych przy tym egzaminie, który jest nowością dla b. zaboru rosyjskiego.

Skład główny: Książnica Polska T. N. S. W., Warszawa, Nowy Świat 59.

WYŻSZY KURS NAUCZYCIELSKI W WARSZAWIE. Na państwowym Wyższym Kursie Nauczycielskim w Warszawie, Jezuicka 4, rozpoczęła się nauka w dniu 10 września b. r.; na Kurs uczęszczają kwalifikowani nauczyciele szkół powszechnych z obszaru całej Rzpltej, przeważnie z okręgu szkolnego warszawskiego w ogólnej ilości 136 osób (mężczyzn 91, kobiet 45). W bieżącym roku szkolnym istnieją następujące grupy: humanistyczna; licząca 43 słuchaczy; matematyczno-fizyczna — 31 słuchaczy, geograficzno-przyrodnicza — 33 słuchaczy, śpiewu i gimnastyki — 29 słuchaczy. Dyrektorem Kursu jest dr. T. Kupczyński.

WYŻSZY KURS NAUCZYCIELSKI W LUBLINIE. Minister W. R. i O. P. zatwierdził wniosek Kuratorjum Okręgu Szkolnego Warszawskiego w sprawie zorganizowania Wyższego Kursu Nauczycielskiego w Lublinie. Kierownikiem Kursu został dr. Henryk Gaertner, profesor Uniwersytetu w Lublinie. Nauka odbywać się będzie w salach Uniwersytetu, użyczonych przez Rektorat. Słuchaczami Wyższego Kursu Nauczycielskiego mogą być czynni kwalifikowani nauczyciele szkół powszechnych z okręgu szkolnego warszawskiego, przedewszystkiem z województwa lubelskiego. W r. b. zorganizowana zostanie grupa humanistyczna (język polski, historja). Absolwenci Kursu pracować będą w wyższych oddziałach szkół powszechnych oraz w szkołach ćwiczeń przy seminarjach nauczycielskich.

POMOC SZKOLNA. Z chwilą odzyskania niepodległości i wskrzeszenia Państwa Polskiego jedną z trosk i to nie najmniejszych całego społeczeństwa polskiego było odrodzenie i dalszy rozwój oświaty narodowej. Jedyną drogą do osiągnięcia tego celu jest stworzenie wzorowo i na sposób europejski urządzonego szkolnictwa.

Nowożytny system wychowawczy uwzględnia m. inn. w bardzo szerokim zakresie tzw. „naukę poglądową", mającą za zadanie oddziaływać na wrażliwy umysł dziecka za pomocą demonstrowania najrozmaitszych objawów życia i tajemnic wszechwiedzy. Wyrodziło to konieczność stworzenia specjalnego przemysłu tzw. „pomocy szkolnych", mającego na celu wytwarzanie najrozmaitszych przyrządów pomocniczych do nauk, przedewszystkiem przyrodniczych, a więc: fizyki, chemji, geografji, astronomji, botaniki, mineralogji itd.

Na zachodzie „pomoc szkolna" już od dawna zdobyła sobie poczesne miejsce wśród najpoważniejszego przemysłu, u nas niestety przemysł ten jest zaledwie w zarodku. Pomimo to z prawdziwą satysfakcją stwierdzić należy, że i pod tym względem czynimy poważne postępy. Do szeregu firm w tej dziedzinie u nas należy warszawska wytwórnia pf. „Pomoc Szkolna", spółka z ogr. odp., która pomimo zaledwie kilkoletniej swej działalności, zdołała wybitnie odznaczyć się.

„Pomoc Szkolna", Spółka z ogr. odp., założona w końcu 1920 r. przez 2-ch wybitnych w tej dziedzinie fachowców, zakreśliła sobie narazie niewielki zakres działalności, mianowicie produkcję i handel wszelkiego rodzaju przedmiotów, ściśle związanych z pomocą szkolną, a pragnąc pracować w tym kierunku jak najbardziej racjonalnie wybrała właśnie te działy, które są u nas najmniej dotychczas wyzyskane, a więc dział latarń projekcyjnych i wszelkich przyborów pomocniczych do nich, dział mikroskopów szkolnych i laboratoryjnych, wreszcie dział przyrządów do doświadczeń fizjologicznych i psychologicznych nad młodzieżą szkolną.

Obecnie dział fizyki i szkła laboratoryjnego, latarń projekcyjnych i tablic poglądowych, jak niemniej dział odczynników chemicznych, przyrządów psychologicznych i przyborów wycieczkowych, jak również mebli szkolnych stanowią już poważny zakres działania firmy „Pomoc Szkolna" a na rzeczywisty i niemały sukces tej działalności można zapisać fakt, że w zakładach tej firmy po raz pierwszy udało się wykonać latarnią projekcyjną w całości. Poza tem zorganizowano dział modeli anatomicznych i przyrodoznawczych, a w projekcie jest uruchomienie działu przyborów technologicznych i towaroznawczych. Gdy dodamy, że poza wyżej wymienionemi przyborami i przyrządami „Pomoc Szkolna" posiada bogaty zbiór globoskopów, przezroczy, wag do ważenia uczniów, wzrostomierzy, siłomierzy, okazów wypchanych ptaków i zwierząt, oraz tablic poglądowych z dziedziny historji, geografji, przyrody, higjeny itd. map geograficznych i globusów, jak również minerałów i skał, do damy wyobrażenie o szerokim i rozwiniętym obecnie zakresie działalności tej firmy.

Solidnością traktowania interesów i precyzyjnem wykończaniem swych przyrządów, przyborów i wogóle wszelkich wytworów firma „Pomoc Szkolna" wkrótce zjednała sobie w świecie szkolnictwa polskiego wielkie a zasłużone uznanie, czego najlepszym dowodem jest, że początkowa jej działalność, obejmująca tylko szkoły średnie typu humanistycznego i realnego, rozszerzyła się w ostatnich czasach i obejmuję dziś również szkoły powszechne i wyższe zakłady naukowe. Biura i składy firmy „Pomoc Szkolna" mieszczą się w Warszawie przy ulicy Hożej 40, sprzedaż zaś odbywa się przy ul. Kruczy Nr. 19.

Wydawca i Redaktor: **Leonard Borkowski.**
Czcionkami Drukarni Poznańskiej Tow. Akc. w Poznaniu.